

Od autora: Jakże wiele dzieje się między niebem a ziemią. O tym ta opowieść :)

Było lato, pełne gwiazd i słońca, usypane milionem ziarenek piasku pod stopami.
Rozkoszą było samo życie, największy dar nad darami, blask blasków.
Delikatna bryza, która wiała od morza, przyjemnie chłodziła rozgrzane ciała.
Co chwila wchodziliśmy do wody, by ostudzić się i poczuć subtelny chłód fal.
A te pieściły nas i dawały chwilę ochłody, jakże potrzebną w upały.

Kochaliśmy się.

Zjeżdżałem kabrioletem na plażę i po chwili już byliśmy w wodzie, zespoleni, tak sobie bliscy, nadzy w ciele i uczuciach, kochankowie bez jednej skazy.
Ile to trwało, nie powiem wam, ale kiedy świt budził świat do życia, i my budziliśmy się do niego, zmęczeni i szczęśliwi, zaspokojeni, my, królowie istnienia, jedyni w swoim rodzaju.
Tuliła się do mnie i całowała tak, jak żadna inna dotąd, dawała mi siebie, całą, rozkosznie.
Brałem ją w wodzie i kochaliśmy się do utraty tchu.
Potem płakała wdzięczna, że jej to dałem, że dane nam to było być w tę noc ze sobą.

Plaża stała się naszym drugim domem – to tu spędzaliśmy wolny czas i tu kwitła nasza miłość, te pocałunki paliły moje usta, sprawiały, że zapomniałem o bożym świecie.
Kiedy ona oplatała mnie nogami, czułem się jak pan uniwersum, jak zdobywca, jak król.
Nigdy nie znałem takiej kobiety i po niej każda inna byłaby niczym.
Nasze namiętności spletały się i tworząc całość, były jednym wielkim wulkanem.
Bo nasze kochanie było wiecznym eksplozowaniem, wiecznym płonącym ogniem.

*Weź ją za rękę, idź z nią plażą, znajdź piękną muszelkę, spełnij swój letni sen.
Potem zabierz ją na przejażdżkę kabrioletem i szepcz o kochaniu.
Nie przestawaj, o nie, bądź z nią cały czas i dawaj jej swoje uczucia.
Nie wolno ci stracić tej miłości, skoro spadła na ciebie ja grom z jasnego nieba, ty teraz musisz zadbać,
by kwitła, jak kwiat w czasie wiosny, jak panna młoda w czasie ślubu.*

*Nie wiedziałeś dotąd, jak smakuje miłość, jak to jest być z kobietą, jak jest tworzyć z nią jedno ciało – w końcu los otworzył ci oczy i już nic nie było zagadką.
Stałeś się mężczyzną i mogłeś podać jej swą dłoń,
To, co do siebie czuliście, było silniejsze niż zło tego świata.
Choćby szlag cię trafił, nigdy nie zapomniałbyś o niej, o niebie, które dostałeś.*

Od tej pory już miałem pojęcie, czym jest kochanie.

Czym jest w życiu człowieka i czym może być, jak go zabraknie.
Bo przez sekundę pomyślałem, co by było, gdybym jej nie miał.
Ale ona była obok i nie miałem cienia wątpliwości, że coś pójdzie nie tak.
Po prostu wierzyłem, że raz dane szczęście ocaleje, i przetrwa po czasie kres.
Jak pory roku, jak wiosna po zimie, jak pąki po usychaniu.

Byłem w siódmym niebie, zakochany po uszy, odurzony uczuciem, jakbym dostał obuchem w głowę, ale
czułem, że coś dobrego dzieje się wokół mnie i że nie upadnę.
Ona, Helen, żyła w moim jestestwie i miałem pewność, że tak już pozostanie.

W międzyczasie urodziła dziecko, dziewczynkę, którą nazwaliśmy Candy.
Z dnia na dzień staliśmy się rodzicami, i to wymagało od nas wiele odpowiedzialności.
Chodziliśmy plażą z wózkiem i uśmiechaliśmy się do siebie.
Było nam dobrze, jako rodzice odnaleźliśmy się w stu procentach.
Maleństwo było naszym oczkiem w głowie i każdy jej ruch, każdy uśmiech, cieszył nas.

Nawet nie pomyślałbym, że dorosłem do roli ojca.
Skupiałem się na kochaniu, na niej, na chwilach rozkoszy i radości.
Nie przypuszczałem, że zostaniemy rodzicami.
Ale Los nie gra w bierki rozgotowanym makaronem.
Gra twardo i nas ustawił w konkretnej, życiowej pozycji.

Płynęły lata, dziecko rosło, a my kochaliśmy się, jakbyśmy poznali się zaledwie wczoraj.
Nasza miłość kwitła, a my czuliśmy się coraz młodszy, cofając czas i przeznaczenie.
Bo skąd mogliśmy wiedzieć, że życie zakpi z nas, pokazując środkowy palec?
Pewnego razu, na spacerze, jakiś młokos uderzył w malutką motorem.
Biegała daleko ode mnie, więc nie mogłem temu zapobiec.

Zmarła na miejscu.

s

Zanim przyjechała karetka, była już *na błoniach zaświatów*.
Padłem na kolana i zapłakałem.
Zbir uciekł z miejsca zdarzenia i dopiero po wielu dniach dowiedziałem się, że udało się go ustalić i po-
stawić zarzuty – był pijany, ledwie kojarzył, co się dzieje.
Jakże zapragnąłem go zabić, wypatroszyć i polać benzyną i podpalić.

Jednakże później dowiedziałem się, że miał dwadzieścia pięć lat i był wielokrotnie karany.
Zaliczył poprawczak i był tam bossem wśród półświatka, wiodąc prym.

Ledwie zaczęliśmy życie, a już z tak złej nogi.
Wiele miesięcy od pogrzebu upłynęło, zanim nieznacznie podnieśliśmy się do pionu.
Malutka wciąż była w naszych oczach, sercach i duszach, cały czas widzieliśmy jej uśmiechniętą buzię i
w górę wyciągnięte łapki, by nas tylko złapać i się poprzytulać.
Maleństwo żyło w nas, nie unikaliśmy rozmów o niej, by jej nie spychać w niebyt, a by była z nami bodaj
w takiej postaci, jaką dał jej Pan, duszy, która była między nami.
Maleńka wracała w snach - rozbawiona, jeżdżąca na rowerku, bawiąca się z kotkiem.
Innym razem karmiła kury, choć nigdy ich nie widziała, by dawać cukier koniowi.

Kolejnym razem jeździła na kucyku naszego sąsiada, śpiewając wiejskie piosenki, by potem pływać pontonem po stawie z wędką w dłoni.

Była.

Żyła w nas i nic i nikt nie mógł tego zmienić.

Była jak żywa istota, jak nasza, żywa córeczka, która nie powiedziała nam „Zegnaj”, ale „Kiedyś do zobaczenia, po tamtej stronie...”

Ale ból nie ustępował.

Każdy dzień zaczynał się „ciężarami” i cierpieniem, bo wracało wspomnienie, że jej już nie ma, że sami oszukujemy się, choć może to i lepsze niż popaść w depresję.

Na ścianach naszych trzech pokoi zawisły jej powiększone zdjęcia, niektóre retuszowane, inne zwyczajne, zrobione gdzieś, w parku, lub nad stawem, kolejne portretowe, dostojne i poważne.

Była z nami cały czas, od świtu do nocy, nie opuszczając na krok, jakby pragnęła wynagrodzić nam to fatalne rozstanie, ten dzień, gdy młodociany psychopata zabił ją motorem.

Helen często płakała, nie potrafiła pogodzić się z jej odejściem.

Miała długie epizody bezsenności, kiedy to rozmawiała ze zmarłą córeczką.

Trwało to całymi godzinami, smutny, żałobny monolog do kogoś, kto nie odpowie.

Nie mogła się od tego wyzwolić, zdawało jej się, że córeczka odpowiada, że nawiązuje z nią kontakt, lecz brutalna rzeczywistość rzucała kłody pod nogi.

Nadszedł dzień, kiedy zrozumiała, że płynęły miesiące, a nic się nie zmieniało, bo raz na zawsze zamknięty czas nie mógł być na nowo otwarty.

To, że to pojęła nie oznaczało wcale, że uwolniła się od bólu – to było niemożliwe.

Zapadła w siebie, wycofała się z życia, i tylko szepty do Candy trzymały ją przy zdrowych zmysłach, bo nie zwariowała, po prostu zgasło dla niej słońce i nie miałem na to żadnego wpływu, choć codziennie ją pocieszałem i pragnąłem, by mrok w jej duszy przeminął.

Nie mogłem sobie wybaczyć, że wtedy nie chwyciłem jej i nie odciągnąłem na bok.

Przeżyłaby i nic złego by się nie stało, a my wrócilibyśmy cało do domu.

Na myśl o niej miałem łzy w oczach i nie potrafiłem nad tym zapanować.

Cierpiałem, cierpiałem bardzo, choć na zewnątrz musiałem być twardy, by Helen miała we mnie oparcie i jako jedyny żywiciel rodziny nie mogłem zaniedbywać pracy.

Nawet nie wiem, kiedy to się zaczęło, kiedy zacząłem mieć te dziwne sny.

Z niebytu, gdzieś w środku sennych wizji, wyłaniał się nagle obraz mostu, tego samego, na którym staliśmy z Helen wiele razy, wybierając go na obiekt naszych spacerów.

Była pora przedwieczorna, zmierzch z wolna zapadał, powoli zapalały się gwiazdy i szarość ogarniała całą okolicę, nurzającą się w gęstej, wilgotnej mgle.

Most był pusty, drzemący w niemym bezruchu, wokół nikt już nie spacerował, nikt się nie kręcił.

Wtem, niespodziewanie coś się zmieniało – ktoś najwyraźniej zmierzał w jego kierunku, powoli, z pewną ostrożnością wchodził na most.

Lecz nie był sam – towarzyszyło mu dziecko, dziewczynka, w której natychmiast rozpoznałem... Candy!

Szara twarz mężczyzny wyrażała smutek i daleka była od beztroski, czego nie można powiedzieć o mojej córeczce – jej oblicze emanowało radością i szczęściem.

Nieznajomy z czymś się zmagał, skrywał coś w sobie – nie pamiętał już, czym była wesołość, to uczucie

zgasłe i skończone.

Chwilę jakby się wahał, lecz po minucie stanął na środku mostu, oparty o barierkę, zagłębił pusty wzrok w mrok groźnych, rzecznych wirów, patrzył długo i beznadziejnie...

Wydawał się już wtedy bardzo daleko, już tylko jego fizyczny kształt majaczył w półmrokach nocy, co za ostatnią towarzyszkę jest mu w tej przedziwnej chwili.

Nagle mężczyzna odwrócił się, wziął Candy za rękę i... rozplynęli się w niebycie jak poranna mgła...

Po przebudzeniu czułem przykre uczucie rozbicia wewnętrznego i dojmującego do głębi smutku, smutku, jaki odczuwamy po stracie kogoś bliskiego, ciężkie uczucie beznadziejności, kiedy żegna się kogoś po raz ostatni.

Ale wstawał kolejny dzień, a ja musiałem biec do pracy, uśmiechnięty, bo nikt nie lubi ludzi smutnych i przegranych, wokół nich zawsze się wyludnia i panuje głucha pustka.

Przynajmniej raz w tygodniu śnił mi się most i Candy z coraz to nowymi osobami.

Cechą wspólną było rozdzierające zasmucenie i, jakby to nazwać, nieobecność duchowa.

W tych ludziach nie było już życia, były tylko ciała, nic już nieznaczące ciała...

Lecz pojawił się sen, który mocno wrył mi się w pamięć.

Na moście ujrzałem samą Candy, nikt jej nie towarzyszył, stała oparta o barierkę i uśmiechała się – w jej uśmiechu było coś z nadziei, z obietnicy, której nie potrafiłem wtedy nazwać.

- Cześć, tatusiu – powiedziała głosem *dorosłej kobiety*.
- Cześć, Candy – odparłem ze wzruszeniem.
- Nie śnię ci się przypadkowo.
- Dlaczego?
- Bo dostałam misję.
- Misję? Czyżbyś...
- Tak. Ja żyję, tylko w innym wymiarze. Możemy spotykać się tylko w snach.
- Wyjaśnij mi wszystko.
- Mam ten dar, że „przeprowadzam” zmarłych z życia do mojego wymiaru.
- I stąd ten most?
- Tak. To połączenie. Między światami. A rzeka jest rzeką ich życia, które dogasa.
- Ale dlaczego właśnie ty masz ten dar?
- Podobno małe dzieci, które umrą śmiercią nagłą tak mają – odpowiedziała.
- Rozumiem. A jak jest w twoim wymiarze? – spytałem.
- Jest jak w niebie, bo to niebo. Jest Światło, które do nas przemawia. Daje nam rozkosz nowego życia, brak trosk i wieczne szczęście. To się nigdy nie zmieni, no chyba że...
- Że co?
- Że dostaniemy nową misję – odparła rezolutnie.
- Czyli jest taka możliwość?
- Oczywiście. Światło daje nam radość pomagania innym.
- Teraz wszystko jest jasne. A co będzie, jeśli na twoim moście staniemy obydwoje?
- Nie wiem. W tak niezwykłym przypadku Światło zadecyduje – odpowiedziała, i mówiąc to rozplynęła się w moim śnie.

Kiedy się obudziłem, czułem się bardzo osobiście – nie chciałem mówić o tym Helen, by jej nie zasmu-

cać jeszcze bardziej, bowiem od miesięcy nie pracowała, była na zwolnieniu na depresję i chwilami zdawało mi się, że jestem dla niej obcym człowiekiem.

Tkwiła w stuporze i nie reagowała na świat zewnętrzny.

Ile bym wtedy dał, by ją ożywić, by znów nastały piękne dni naszego kochania, by poczuć namiętność i bliskość ciał – może to pomogłoby jej w powrocie do zdrowia?

Odzywała się rzadko, zapłakana, niekojarząca, jaki dzień, jaki miesiąc, jaki rok.

Siedziała nieruchomo na tapczanie z podniesioną do góry ręką.

To trwało od miesięcy, i tylko kiedy kładłem ją spać, sztywność ręki ustępowała, by od rana wrócić do stanu poprzedniego i tak upływał nam czas, czas zły i nieprzychylny.

Nie wiem, czy ze zmartwień, czy z czegoś innego, nagle zacząłem chorować na serce.

Brałem worek leków i często miałem bolesne klucia w klatce piersiowej.

Byłem czterdziestolatkiem, więc trochę za wcześnie na choroby wieku późniejszego.

Jednak się nie poddawałem, wierzyłem, że Bóg nie sprzątnie mnie z tej ziemi tak szybko.

Sny trwały, i za każdym razem Candy pojawiała się z inną osobą.

Znów był motyw mostu, rzeki i dojmującego smutku, który czułem po przebudzeniu jak cierń w sercu, jakbym to ja był tam, razem z nią, i był mężczyzną o szarej twarzy.

W końcu nastąpiło to, co nastąpić musiało.

W moim śnie stanęliśmy razem na moście.

Ona uśmiechnięta, radosna i rozpromieniona, ja przybity i bez siły do życia.

Z lękiem spoglądałem na rzekę, na jej czarny nurt i pamiętałem jej słowa, co znaczyła.

Choć był to sen, zdał mi się bardzo realnym, wręcz przekazem wprost do mózgu.

Nie chciałem się do tego przyznać, ale byłem przerażony.

Pamiętałem o mojej chorobie serca i tu obawiałem się śmiertelnego ciosu.

- Dlaczego się tu spotkaliśmy, Candy? – spytałem drżącym głosem.

- Twój ziemski czas za ileś lat minie – odpowiedziała. – Ale...

- Co?

- Mogę to zatrzymać.

- Jak?

- Wrócić do was.

- Jak to możliwe?

- Życie za życie.

- Wciąż nie rozumiem.

- Jeśli urodzi się wam córeczka, taka jaką ja kiedyś byłem, ty przeżyjesz.

- Mącisz mi w głowie. Nadal nie wiem, co masz mi do powiedzenia.

- Jeśli spłodzisz mamie córkę, ja nią będę.

- To chyba sen. To rojenia maniaka.

- Nie. To szczerza prawda. Tylko zbliżcie się do siebie, pokochajcie raz jeszcze, a wszystko wróci do stanu szczęśliwości. Uwierz mi, ja „tu” byłem, ja wiem. I jeśli zrobicie to, co mówię, wrócę do waszego świata. Chyba tego chcesz, prawda? Więc nie wahaj się.

- Zapamiętam, po co żyję, kochanie.

Po tym śnie rozpocząłem delikatne próby zbliżenia się do Helen, nie chciałem tego robić namolnie, lecz z należytą delikatnością i namiętnie, by znów poczuła, że jest mi potrzebna i że ją kocham, i nic ani nikt nie stanie między nami, po prostu nie dopuszczę do tego.

Robiłem to wiele razy, aż do skutku – nie raz się broniła, jakbym chciał zrobić jej krzywdę.

Ale byłem konsekwentny w moim działaniu i nie odpuszczałem.

Pragnąłem ją odzyskać, znów przeżywać radosne chwile w erotycznym uniesieniu.

Kiedy ją zacząłem całować, stupor jakby począł ustępować, sztywna od miesiący ręka opadła, i w jej męt-nym spojrzeniu ujrzałem światelko w tunelu, które dało mi do myślenia, że wciąż reaguje na bodźce i po-mimo miesiący spędzonych w marazmie, wraca do życia.

Wziąłem ją na ręce i zaniósłem do sypialni – tam rozebrałem i wtuliłem się w jej ciało.

O dziwo, przygarnęła mnie i potem było już tylko lepiej – byliśmy ze sobą.

Nigdy nie powiedziałem jej o proroczym śnie.

Chciałem, by wiedziała, że wszystko odbyło się naturalnie.

- Kochany... - szepnęła. – Gdzie ja dotąd byłem? Jak mogłeś ze mną wytrzymać? Wszystko czułam, co działo się wokół mnie, ale nie mogłam nic zrobić. To straszne. Byłam jak kawał pnia.

- Już minęło, nie bój się, nie myśl już o tym. Miłość zmienia wszystko i w naszym przypadku zmieniła. Najważniejsze, że nasze kochanie znów wróciło, że znów jesteśmy sobie bliscy.

- Byłam wczoraj u ginekologa. Jestem w ciąży. Znów! Wyobrażasz to sobie?

- Jestem najszcześliwszym facetem pod słońcem – odpowiedziałem.

- Los jednak oddał to, co wziął – powiedziała mądrze.

- Cieszę się, że tak myślisz – rzekłem, nie zdradzając jej prawdy.

Teraz pozostało mi oczekiwanie na powrót Candy, na to, czy w zachowaniu noworodka rozpoznam daw-ną córeczkę, czy da mi to po sobie poznać.

Bowiem pamiętałem każde słowo, jakie mi we śnie powiedziała.

15 kwietnia 1966 roku urodziła się, zdrowa i piękna, i od razu nazwaliśmy ją Candy.

Chyba musiało być jej przyjemnie, że tak się stało, że nic się nie zmieniło.

Od początku spała spokojnie i zachowywała się bez zarzutu – uśmiechnięta i radosna.

Nie było z nią żadnych kłopotów, wręcz przeciwnie, dostarczała nam samej rozkoszy, kiedy wesoło kwiliła i przebiegała łapkami, jakby chciała złapać motyla w locie.

Jej radość udzielał się nam, kiedy byliśmy nad kołyską, czuwając nad jej snem.

Początkowo dziecko nie wykazywało żadnych podobieństw do Candy, ale po kilku latach to się nasiliło i to w wielkim stopniu – już uwierzyłem w mój proroczy sen.

Mówiła jak ona, śpiewała jak ona, nawet podskakiwała jak ona.

Całą sobą była nią, a ja płakałem z radości, że ten sen okazał się prawdziwy.

Że są na tej ziemi rzeczy, które wymykają się logice, ale jednak istnieją i są faktem.

Bo to, co nas spotkało, było cudem nad cudami, i nadal nie mogłem w to uwierzyć.

Pokochołem ją na nowo, jakby zły czas nie istniał, pokochołem całym sercem.

Bo czy kiedykolwiek przestałem?

Czegóż więcej chcieć?

Nie miałem cienia wątpliwości, że Candy wróciła.
Że są sprawy między niebem a ziemią, o których nie śniło się filozofom.
Moja mała dziewczynka znów była z nami, i tylko Helen nic o tym nie wiedziała.
Nie chciałem jej o tym mówić, nie uwierzyłaby.

Mijały lata, ona rosła i dojrzewała.
Była już prawie kobietą.
Pewnego dnia nawiązała się między nami rozmowa, która otworzyła mi po raz kolejny oczy:

- Pamiętasz pierwszy sen? – zapytała. – Spróbuj go sobie przypomnieć.
- Tak, oczywiście. Nie mógłbym go zapomnieć – odparłem.
- I to, co ci wtedy powiedziałam?
- Tak.
- Ponieważ wróciłeś mi życie, teraz ty będziesz „na moście”.
- Co to znaczy?
- Życie za życie, pamiętasz? Teraz, gdy za jakiś czas, odjedziesz z tego świata, będziesz na moście z tymi, którzy odchodzą. Pocieszę cię, że nie nastąpi to tak szybko.
- Czyli będę w twoich snach? Będę odprowadzał tych, którzy umierają?
- Dokładnie.
- To świadczy o tym, że Światło wierzy we mnie.
- Tak, wierzy, i to bardzo. Zostałeś wybrany. Czuj się kimś wyjątkowym.
- A co, jeśli to wszystko się nie uda? Co wtedy ze mną?
- Masz to jak w banku. Możesz mi zaufać, byłam „tam”.

Dziś Candy ma dwadzieścia lat i jest piękną kobietą, ma nawet narzeczonego.
Studiuje prawo i jest bardzo szczęśliwa, jej szczęście promieniuje na innych.
Kocha cały świat i świat kocha ją za to, że przez te lata okazała serce wielu ludziom.
Tak jak „na moście”, tak w życiu, podała rękę niejednemu w potrzebie.
Ludzkie serca są takie, że nie zapominają, będę pamiętać do końca życia.
I ona zaskarbiła sobie „dożywocie” na szacunek i pamięć.

A ja byłem szczęśliwy, że nie powiedziałem Helen o moim śnie.
Mogłoby to ją zaburzyć, a tak jesteśmy nadal kochającą się rodziną i nic tego nie zmieni.
I co najważniejsze – znów jesteśmy rodzicami.

20 sierpnia 2021

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

mike17, dodano 26.09.2021 10:54

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.